



# Dom, czyli kluski z makiem

ANNA MARIA CZARZASTA

Znajoma pani mówi, że u niej wigilia będzie jak zawsze tradycyjna. Słyszę to nie po raz pierwszy – każdego roku jakaś pani podkreśla, że dba o podtrzymanie tradycji. I zawsze nie bardzo rozumiem, dlaczego chwala się tym pani mówi to tak, jakby była na mnie obrażona.

Kiedy w takich okazjach pytam o szczegóły tej tradycyjnej wigilii, dowiaduję się zwykle najpierw, że tradycyjne będą potrawy – „typowo polskie”, po czym moja rozmówczyni się rozgrzewa i dorzuca do potraw jeszcze coś bardzo tradycyjnego, a więc miejsce dla niespodziewanego gościa, a nawet czasem sianko pod obrusem. Potem przechodzi pora na choinkę i na to, co pod nią będzie. Z tym jest największy kłopot, bo nie wiadomo właściwie, co na przykład kupić dzieciom, skoro one „wszystko już mają”.

W tym punkcie rozmowy odzywa się mój sceptycyzm. Otóż nie wierzę w ten tradycyjny „stół polski”. Tego się już nie da zrobić, to przeszłość. Nie da się. Choćbyśmy furę siana upchali pod obrusem i przygotowali dla niespodziewanego gościa miejsce na skórzanej sofie naprzeciwko telewizora, z pilotem do przerzucania kanałów obok talerza, to i tak to wszystko nie stworzy tego domowego ciepła niegdysiejszych zgromadzeń rodzinnych – wielopokoleniowych i prawdziwie odświętnych. Dziś wokół nas wieje chłodem, a tradycja sprowadza się do naśladowania symboli – naśladownictwa ocierającego się o kiczowatość. Rzeczy są, ducha nie ma.

Zmienił nas ten świat i wszystko nam się poplątało, chociaż nie zdajemy sobie z tego sprawy. Nie zauważamy na przykład, że Boże Narodzenie rozciągnęło nam się na kilka ładnych tygodni do tyłu. Polski zwyczaj? Nie, to nieokreślona chęć zysku, chciwość, rozciągnęła ten okres przygotowań, czyli kupowania. A co o adwentowych *Christmas Parties*. Nawet w PRL-u bożonarodzeniowe spotkania, choinki dla dzieci, wieczory kolęd odbywały się po 25 grudnia – teraz urządzamy sobie to wszystko z początkiem miesiąca. 25 grudnia to w rzeczywistości finał Bożego Narodzenia, przybitego *Boxing Day*, który kończy szal zakupów.

Polska tradycja wigilijna, proszę pani, to duchowość domu, w którym już od dawna nie mieszkamy.

Dom rodzinny staje się dla mnie zawsze źródłem niewyczerpanych wspomnień. Może dlatego często wracam myślami do mazurskiego miasteczka otoczonego lasami i jeziorami. Sentyment każe mi wspominać najweselsze chwile spędzone wśród rodzeństwa i rówieśników, w niczym nie ograniczającej nas osiedlowej, leśnej i nadjeziorniej przestrzeni. Magiczny czas dziecięcych zabaw był pożywką dla naszej wyobraźni, a rozległe i nieskażone cywilizacją tereny – istnym rajem na ziemi.

Często zastanawiam się nad tym – czymże różniło się dzieciństwo dzieciaków z naszego miasteczka? Po chwili dochodzę do wniosku, że tak naprawdę to niczym... Dzieci w naszym miasteczku żyły tak samo – mieliśmy podobnych rodziców, którzy pracowali w jednej fabryce, mieszkaliśmy w podobnych blokach, mieliśmy podobne ubrania i zabawki, podobne marzenia i problemy. Byliśmy podobni do siebie i nawet meblowanie naszych mieszkań było podobne. Do wystroju tych wnętrz przyczynił się poniekąd nawet mój ojciec, który będąc uznanym stolarzem robił sąsiadom, modne w latach 70-tych, mebleścianki na zamówienie, ludzko zresztą do siebie podobne. Pomimo tych wspólnych dla dziecięcego świata krain, znalazłam jednak szczególną rzecz jaka różniła nasze światy – był to smak domu.

Centrum mojego rodzinnego domu to kuchnia, w którym mama – kucharka z zawodu, jak sama o sobie mówiła – dzierżyła władzę absolutną. W domu zawsze pachniało gotowanym jedzeniem, a kulinarne mamusine specjalności chwalone było w całej rodzinie i wśród znajomych. Nie jestem smakoszem, muszę to wtrącić, jedzenie dla mnie osobiście nie jest źródłem uniesionych doznań, zadowolam się potrawami niewyszukanymi, prostymi i czas spędzony w kuchni uważam za stracony. Może właśnie dlatego kulinarne wyuczony mojej mamy uważam za mistrzostwo świata. Nie będę rozwodzić się nad codziennym jadłospisem, ale chcę wspomnieć jedną potrawę, bardzo szczególną, której smak kojarzy się mi i mojemu rodzeństwu jednoznacznie – z domem. Smak tej potrawy to wspólne rozmowy przy stole w kuchni, radość dzieci ze zbliżającej się kulinarnej perełki, matczyne ciepło rąk jakimi wyrabiała ciasto i wpatrowane w nią oczy dzieci czekających na magiczną chwilę – smaku migdałowego maku w dziecięcych buziach. Kluski z makiem – to smak mojego dzieciństwa.

Kluskom należałoby poświęcić kilka odsłon. Pozwolę im czterokrotnie wkroczyć na scenę, tak abym mogła ujrzeć je w przestrzeni lat. Dzięki nim wracają do mnie dziecięce emocje, wspomnienia, smaki, zapachy i poczucie rodzinnego ciepła.

Odsłona pierwsza – rok 1979. Jest mroźny wigilijny poranek. Mróz namalował piękne wzory na szybach. Mam 9 lat, siostra 6, a brat 3. W parującej kuchni mama mieli mak. Wszyscy czekamy aż doprawi go cukrem, margaryną i pachnącym olejkiem migdałowym, czas dłuży się jak makaron. Nareszcie mama daje nam ma-



sy makowej po łyżce do buzi. W nasze małe ciała wlewa się rozkosz i matczyne miłość. Tak podekscytowani nie możemy doczekać się wieczora i kluskowej uczy. To jedyny raz w roku, kiedy możemy jeść ten specjal rodzinnej kuchni. Kluseczki są pierwszą potrawą, po jaką sięgamy w każdą wigilię. Najadamy się zachłannie i nie zważamy na inne potrawy – wiadomo że kluski są przede wszystkim dla dzieci. Następnego ranka pierwsze co zawita na nasz śniadaniowy stół to kluski odgrzewane.. i tak przez wiele, wiele lat...

Odsłona druga – rok 1990. Mam 20 lat, siostra 17, brat 14, druga siostra 3 latka. Październik, dom rodzinny, jakiś ponury wieczór, smutno za oknem, najwyraźniej brakuje nam czegoś ciepłego i dobrego. Dopytujemy się lekko, czy można jeść kluski z makiem nie tylko w wigilię, czy to nie zabronione. Pytamy nieśmiało, bo nie wiemy co mama odpowie, do tej pory jedynie wigilia pachniała migdałowym makiem, może to zarezerwowany dla niej czas?? Mama uśmieła się słysząc prośbę. Następnego dnia kupiliśmy z siostrą mak, bakalie, rodzynki, a skórkę pomarańczową miałyśmy własną. Asystowałyśmy tylko przy stole, bo mama jak zwykle królowała w kuchni niepodzielnie I są.. nareszcie cudowny smak... kluski.. bosko nam, wszystkim dzieciom, przez dwa dni..

Odsłona trzecia – rok 2002. Mam 32 lata, męża, 12-letnią córkę i swój dom. Przygotowuję potrawy wigilijne według własnego uznania. Mężowski numer jeden to wigilijne pierogi z grzybami, córki – to pierogi z grzybami i kapustą, a moje – jakby nie było jedyne – kluseczki z makiem. Nie robię ich dużo... bo po co? Dla siebie? Ile ja mogę zjeść? Ale modyfikuję prosty rodzinny przepis. Kluseczki nabierają ogłady, są teraz w wersji wykwintnej, karbowane po bokach, z miodem, migdałami, rodzynkami, orzeszkami, skórką pomarańczową, i ten migdałowy smak – delikatess... Następnego ranka dokładki nie było... czegoś mi w klusieczkach brak... już wiem – brak mi mamy i rodzeństwa, i zaśnieżonych drzew za oknem.

Odsłona czwarta – rok 2005. Wrzesień. Gdańsk. Niedawno przeprowadziliśmy się z Mazur. Ja nie pracuję

i nie jest nam zbyt dostatkowo. Po odwiedzinach rodziców topnieją zapasy, jakie nam tu zwieźli... Niepostrzeżenie znalazłam w szafce 0,5 kg maku od mamy. Zrobię kluski z makiem!!! Żadne tam wykwintne, jak w naszym domu, gdzie jako młoda gospodyni nie wiedziałam już co do nich dosypać, aby były lepsze, a i tak mi nie smakowały. Zrobię takie najprostsze z tego co mam: mąka, margaryna, mak, cukier, olejek migdałowy. Najważniejsze, że będzie co jeść na dłużej!!! Zajadamy się z córką dwa dni. Za oknem październikowa szaruga,

a kluski smakują tak samo jak u mamy... Najprostsze na świecie, niewyszukane, niewydumane, sycące, z migdałowym posmakiem i napelniające radością i nadzieją, że nie zawsze będzie tak ciężko. Czuję ciepło maminych rąk i słyszę radosne śmiechy rodzeństwa, choć dzieli nas wiele setek kilometrów. Wrzaski kluskami zawitała w moim nowym domu radość i poczucie bezpieczeństwa, tego czego mi najbardziej wtedy brakowało.

Kluski z makiem to smak całego mojego życia...



## OPOWIEŚĆ ŚWIĄTECZNA

JACEK ŁASZCZ

Nie miałem chleba, wyszedłem drugiego dnia rano i kupiłem dwie tzw. bułki czcze. Tani wynalazek pospiesznej, tandetnej epoki – jałowy gniot z samej mąki, odrobiny soli i wody, podrumieniony w sklepowym piecu. Nic innego nie było. Aha, i jeszcze rybę kupiłem na obiad o dziwnym tytule, tilapię. Szesnaście z groszami na kili, pangopodobna, ale chyba gorsza.

Za osiedlowym sklepem czepiła się mnie dziewczucha, pomyślałem, znajoma, zwykle kłopoty z odróżnianiem znajomych od nieznajomych. Spytałem jak leci, żeby zyskać na czasie i wybać sprawę. Zagadała, że jest sama na święta i kokietyjnie puściła gluta z prawego nozdrza na ubranko. Zintegrował się natychmiast z materiałem. Odparłem, że też jestem sam i co z tego? Zagała, bym zakupił piwo. To już wiedziałem, że nie jest to moja znajoma, odmówiłem śpiesznie i przestraszony sytuacją uszedłem.

Były to jednak miłe złego początku, bo zaraz pomyślałem, trzeba coś zjeść u ludzi na święta i postanowiłem złożyć dawno odkładaną wizytę znajomej pijaczce, która beczelnie ukry-

wała nałóg. Kiedy przychodziła do mnie na cyku, skarżyła się na jakieś dziwne oddziaływanie leków. Brat wspomagał starą rurę o awanturniczej, pijacko-psychiatrycznej przeszłości, pozbyła się nienawidzącej jej córki z zięciem i wnuczkami i zamieniła lokal komunalny na własnościowy na Deotymy. Uprzedzała, że domofon nieczynny, trzeba dzwonić do sąsiadki. Że w ogóle sąsiedzi jej nie lubią. Nie dziwię się, bo znam kobietę. Mimo to zdołała mnie zaskoczyć. Dziecko sąsiedzkie wpuściło, wskazało drzwi i wycofało się dyskretnie. Nie były zamknięte, drugie też puściły, w pokoju zaciągnięte zasłony, w niechlujnym wyrze spoczywał jakiś spłaszczony kształt żerński ze skołtunionymi, siwymi włosami. Święta musiały być bardzo wyczerpujące. Brudna kołdra lekko się unosiła, zatem postać żyła, sąsiedzi nie posadzą mnie o mord, pomyślałem i niezwłocznie dałem tyły.

Pomyślałem sobie jeszcze, memento, czy u ciebie jest lepiej, człowieku? Co z tego, że nie pijesz? Zawsze mi się zdawało, że w samarytańskich uczynkach kryje się coś podejrzanego... Diabłem to podszyte!

Polish-Canadian Literary Magazine  
"AHA!"

Published in Canada by  
THE AHA! SOCIETY  
FOR CULTURAL DEVELOPMENT  
#316-3640 Victoria Drive  
Vancouver, BC, V5N 5P1  
tel. 604-251-1485

e-mail: magazine.aha@gmail.com  
editor-in-chief  
Andrzej Jar

The Aha! welcomes letters to the editor,  
however, we reserve the right to edit  
all letters for taste, legality and length,  
or to refuse publication.

All letters to the editor must be signed  
and have an address and phone number  
for verification. We will not run a letter  
that cannot be verified